

Od autora: Właściwie to nie wiem czy to humoreska, czy krótkie opowiadanie, może miniatura. Myślę, że to mało istotne.

Zapraszam do lektury.

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Zielonej Górze mieścił się w starym, zabytkowym, bodaj osiemnastowiecznym budynku. Nikt tego do końca nie potwierdził, nie zachowały się bowiem żadne jego plany, a badacze nie byli zgodni w ocenie. Przy różnych drobnych, okazjonalnych naprawach, odkrywano czasem jakieś jego tajemnice. A to ślepe drzwi w ścianie, a to schody do piwnicy, w której znajdowano szpargały sprzed wielu lat, z których nic pewnego nie wynikało. Ośrodek tętnił życiem. Do niedawna organizowano tu akademie "ku czci", teraz, w nowej rzeczywistości, działały koła zainteresowań, występowały szkolne zespoły muzyczne czy zaproszeni artyści. Tylko teatru nigdy nie było, bo nie było ku temu odpowiednich warunków technicznych. Ale miało się to zmienić po kapitalnym remoncie, któremu, po wielu latach użytkowania, poddano ten wiekowy gmach. Znalazły się środki nie tylko na sam remont, ale i na zakup odpowiedniego sprzętu. W magazynach czekały już skrzynie z urządzeniami do nagłośnienia, oświetlenia, ba, była nawet podnoszona mechanicznie kurtyna z ciężkiego, czarnego pluszu.

Poprzedni dyrektor odszedł właśnie na emeryturę, dość długo szukano kogoś na jego miejsce, aż w końcu pojawiła się w mieście odpowiednia osoba. Była to Ludwina Starostecka, na oko czterdziesto-kilkuletnia, doświadczona aktorka, która, jak szeptano, z powodów osobistych musiała opuścić sceny warszawskie. Tu, na Ziemiach Odzyskanych, jak jeszcze czasem, choć raczej żartobliwie, nazywano tę część kraju, nikt jej nie znał.

Pani Ludwina energicznie wkroczyła w progi Ośrodka Kultury. Do jej zadań, oprócz kierowania całą placówką, należało dopilnowanie, aby montaż urządzeń w sali teatralnej przebiegał zgodnie z potrzebami sztuki. Równie ważnym przedsięwzięciem było powołanie do życia teatru amatorskiego, którym miała kierować. Dyrektor Starostecka osobiście wykonała ogłoszenie o naborze, które powiesiła na drzwiach ośrodka. Dość szybko zgłosiła się spora grupa zainteresowanych. Przesłuchania były raczej formalnością, trudno bowiem od amatorów wymagać nie wiadomo jakich umiejętności, ale w końcu pani dyrektor wybrała przyszłych aktorów. Były to osoby w różnym wieku, różnych zawodów i o bardzo różnym stopniu predyspozycji i umiejętności.

Gmach, malowniczo usytuowany w starym parku, był na czas prac remontowych zasłonięty solidnym, metalowym płotem. Młodzi adepci sztuki aktorskiej dostali jednak specjalne zezwolenia i rozpoczęto próby. Po kilku spotkaniach postanowiono wybrać nazwę. Ktoś zaproponował "Teatr w samo południe" i z początku wszystkim bardzo się ona podobała, ale pani reżyser przekonała, że ciekawiej brzmi "Teatr o północy". Bo też i próby często o tej godzinie się kończyły.

Na początku aktorzy opowiedzieli o sobie, czym się zajmują zawodowo i do jakich szkół chodzą. Poprosili też Ludwinę o opowiadki, anegdotki z jej pracy w stołecznych teatrach. Nie była zbyt wylewna, owszem opowiedziała jak Gustaw Holoubek zapomniał tekstu, jak inny znany aktor przyszedł na spektakl pijany i trzeba było błyskawicznie organizować zastępstwo itp. O sobie mówiła niewiele. Tłumaczyła, że zmieniała sceny, bo proponowano jej lepsze warunki, że z kolejnego teatru odeszła, bo reżyser był słaby lub repertuar za mało ambitny, że koledzy ciągle robili jej kawały i tym podobne.

Coś tu jednak było nie tak, coś się nie zgadzało. Do rodziny Grześka przyjechała na kilka dni siostra jego mamy, pracująca w warszawskim Teatrze Narodowym. Kiedy Grześ, opowiadając o swojej

teatralnej pasji, wymienił nazwisko Ludwiny Starosteckiej, okazało się, że ciocia o nikim takim nie słyszała. Owszem, była taka przed wojną, ale teraz to chyba nie - mówiła. Ale, kto wie, przecież nie mogą wszystkich znać. Grzegorz podzielił się z kolegami swoimi wątpliwościami, ale nikt się tym specjalnie nie przejął. Może po prostu zmieniła nazwisko? Zresztą, jakie to ma znaczenie - mówiono. Ważne, że mamy wreszcie teatr.

"Teatr o północy" rozpoczął więc regularne próby. Właśnie Teatr. Ludwina pilnowała, aby nie używać określenia "teatrzyk", "grupa teatralna", "kabaret", a "Teatr". Teatr przez wielkie "T". Bo choć to pasja, hobby, zajęcie wykonywane w czasie wolnym, to wszyscy, a głównie Ludwina, podchodzili do niego śmiertelnie poważnie. Musicie poczuć ducha teatru - mawiała. Na próbach uczono się śpiewu, tańca, improwizacji, ćwiczono dykcję. Wkrótce wszyscy bezbłędnie mówili "strzelba", "trzeba" i "postrzyżyny". Przestano też popełniać błędy językowe i aktorzy mówili poprawnie "włączać".

Ludwina miała niezwykłą siłę przebicia. Sprowadziła instruktora walki wręcz, kaskadera i nauczyciela szermierki, bo wszystko miało się wkrótce przydać. Spieszyli się, bo mimo utrudnień - często próbom towarzyszył hałas młotów, wiertarek lub krótkie wyłączenia prądu - ambitny plan zakładał, że wraz z zakończeniem remontu, Teatr będzie gotowy z premierą. Za każdym razem kiedy późnym wieczorem aktorzy przychodzili do WOK-u, Ludwina już tam była. Sama otwierała wszystkie pomieszczenia i sama je zamykała, zawsze pełna werwy, energiczna i zaangażowana.

Na warsztat wzięto nie byle co, bo "Romea i Julię" Wiliama Szekspira. Po miesiącu prób czytanych, przyszedł czas na ustawianie scen akcji. Pierwsze dwa akty przećwiczone bez problemu. W akcie trzecim, w którym jest bójka pomiędzy Tybaltem a Merkucjo, zaczęło się coś psuć. Pani reżyser wciąż miała pretensje, że aktorzy są za mało prawdziwi, że nie wczuwają się w role. Dołóż mu! krzyczała. Wymagała, aby scena bójkii była realistyczna. Opuściła dopiero, kiedy grający Merkucja Grzesiek, uczeń Gimnazjum nr 1, wrócił do domu z porządnie podbitym okiem. I nic w tym dziwnego, bo Tybaltem był Roman, bezrobotny osiłek, wdający się często w prawdziwe, niereżyserowane bijatyki.

Na próbach posługiwano się rekwizytami przyniesionymi przez Ludwinę, które, jak mówiła, przywiozła z Warszawy. Był wśród nich m.in. sztylet z ostrzem chowającym się do rękojeści, więc scena zabójstwa wyglądała bardzo prawdziwie. Właśnie do tego dążyła pani reżyser, do autentyczności. Teatr to magia, gramy tak, aby widz wierzył, że to się dzieje naprawdę. Na scenie ma być jak w życiu.

Zbliżał się upragniony koniec remontu, a tym samym premiera, którą wyznaczono na 27 marca Międzynarodowy Dzień Teatru. I znowu wszystkim zajęła się osobiście pani reżyser. Odpowiednio wcześniej wysłała zaproszenia do władz miasta, informacje do gazet i telewizji. Wszystko szło świetnie, próby kostiumowe wypadły imponująco, pozostało jeszcze dopracować najtrudniejsze elementy - bójkii, morderstwa, samobójstwa. Julia, czyli pani Tereska, młoda nauczycielka z gimnazjum Grzegorza, pięknie upadała po wypiciu trucizny, Romeo, idealny do tej roli, wysoki i przystojny jak amant filmowy pan Stanisław, prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w jednej z okolicznych gmin, także wypadał świetnie w scenie zabójstwa Tybalta. Umierał również doskonale. Ludwina była wniebowzięta: rzucimy ich wszystkich na kolana - powiedziała na zakończenie i wyszła do garderoby się przebrać.

Było tuż przed północą i wszyscy, porządnie zmęczeni, rozmawiali jeszcze o zakończonej właśnie próbie, żartowali, omawiali szczegóły. Ubrani już do wyjścia, czekali tylko na Ludwinę, która zwykle szła z nimi do pobliskiego postoju taksówek, aby dopilnować, by wszyscy bezpiecznie wrócili do domów. Ale nigdzie jej nie było, tylne drzwi były zamknięte, zniknęła jak kamfora. Pewnie nie zauważyliśmy, że wychodzi, powiedział Stanisław. Opuścili budynek, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i bramę

ogrodzenia, które ekipa budowlana miała następnego dnia rozebrać. No to cześć, spotykamy się w sobotę o 18:00!

Nadszedł wreszcie dzień premiery. Kilkadziesiąt minut przed zaplanowanym otwarciem ośrodka zebrała się spora grupa ludzi. Oficjele, dziennikarze, znajomi i rodzina, widzowie z miasta. Tłumek, a właściwie już tłum, był coraz bardziej niespokojny i podenerwowany. Dlaczego nie zdjęto tego ohydneho płotu? A ta betoniarka to musi tak stać na środku drogi? Dlaczego nas nie wpuszczają? Na metalowej bramie wciąż wisiała tabliczka z napisem: "Teren budowy - nieupoważnionym wstęp wzbroniony" i wyraźnie naigrywała się z zebranych. Co bardziej niecierpliwi zaczęli stukać, walić pięściami w blachę ogrodzenia. Halo, jest tam kto?! Otwierać! Po kilku minutach z gmachu wyszła dziwna postać w gumowcach i kufajce. Przez szczeliny w płocie widać było, jak chwiejnym krokiem zbliża się do furtki. Zazgrzytał w zamku klucz, brama się uchyliła. - Czego? - zapytała w końcu, kiedy już przełknęła kęs trzymanej w dłoni bułki. W drugiej ręce tkwił nóż, może sztylet, z nabitym na ostrze kawałkiem kielbasy. Tu jest budowa, kierownika już nie ma, będzie w poniedziałek, jak przywiozą beton. A wy do kogo?

Zrobiło się poruszenie, w ruch poszły kamery, podbiegli dziennikarze z mikrofonami, zaczęli wypytywać o teatr, otwarcie gmachu. - Ja tam nic nie wiem, ja tu tylko pilnuję, żeby nic nie rozkradli, bo tu się jakieś gówniarze ciągle kręcą. Niech przyjdą jak będzie kierownik, mówiłam wam już. Ktoś jeszcze rzucił pytanie o panią Starostecką, że premiera, że zaproszenia...

- Że niby jak? To ja jestem Starostecka i co z tego? - rzuciła. Przez chwilę stała, patrząc martwym wzrokiem w twarze zgromadzonych. Po czym odwróciła się na pięcie, zatrzęsnęła za sobą ciężką, metalową bramę i powłócząc nogami wróciła skąd przyszła.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Galernik, dodano 15.04.2020 08:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.